

# TRADYCJE I OBYCZAJE

W jednym z rozdziałów napisałem, że świat zmienia się na naszych oczach, wszystko jest w ruchu i z każdą chwilą oddalamy się od tego, co było. Tak było przed wiekami i tak będzie w następnych stuleciach. Jednak człowiekowi, szczególnie temu wchodzącemu w wiek średni, ciężko jest pogodzić się z tym, że coś ginie, odchodzi bezpowrotnie. Szczególnie trudno mu godzić się z utratą tego, co w swoim życiu ukochał, do czego przywarł całą duszą. Chcę w tym rozdziale podzielić się moimi przeżyciami z tego najpiękniejszego okresu życia, czyli dziecięco-młodzieńczego. Łączą się one ściśle z tradycją i obyczajami, jakie miały miejsce w moim środowisku. Przedstawię je chronologicznie, zgodnie z rokiem liturgicznym, pragnąc ocalić je od zapomnienia.

## Adwent, czyli oczekiwanie

Piękną polską tradycją było, odprawianie przed świtem każdego dnia adwentu, mszy świętej zwanej roratami. Nazwa pochodzi od łacińskich słów: - Rorate coeli de super (spuście rosę niebios). W czasie tej mszy pali się dodatkowa świeca pięknie ubrana symbolizująca Maryję, która w noc betlejemską poda nam swymi rękami najdoskonalsze światło - Chrystusa, swego Syna (*fol. nr 26*). Roraty należały do najstarszych i ulubionych przez lud nabożeństw ku czci Matki Bożej. Pojawiły się u nas już w XIII wieku, a obyczaj ten przyniosła z Węgier do Polski święta Kinga, żona księcia krakowskiego Bolesława Wstydliwego. Przed laty o tym starym obrządku pięknie napisał w swoim wierszu Tadeusz Muraszko.

### *Na roraty,*

*Ozwał się dzwon stary z rana  
Od bielonego kościoła,  
Wieś zaspaną,  
Budzi szare w mroku chaty  
Milknąc gdzieś na skraju siola.*

### *Na roraty,*

*Idą wsiami, zagonami,  
Drogą polną w świat zamglony.  
Skrzypnął drzwiami  
Siwy chłop, kożuchem w łaty  
I srebrem mgieł otulony.*

### *Na roraty,*

*Wiedzie wydeptana droga  
Poprzez śnieżne okolice,  
I przed Boga  
Niesie serca blask szkarłatny,  
Chłopskie troski i tęsknice.*



26. Świeca roratna

Na roraty chodziliśmy w licznej kompanii, wszak młodzieży w mojej wsi Plewki było dużo. Do kościoła mieliśmy pięć kilometrów, więc było dużo czasu, aby po drodze wyrozumować się do woli. Gdy wychodziliśmy z domu, na dworze było ciemno, więc każdy, kto miał baterijkę (latarkę) brał ją ze sobą. Wychodziliśmy z domu do kościoła bez śniadania, bo do komunii wówczas przystępowało się na czczo. Pieśni śpiewane na mszy roratnej były refleksyjne, zapadające w pamięć. Do dzisiejszego dnia pamiętam słowa dwóch pieśni adwentowych: „Spuście nam na ziemskie niwy” i „Archanioł Boży Gabriel”, gdy je śpiewam - wzruszam się. W drodze powrotnej z kościoła, głodni skubaliśmy z krzewów owoce tarniny, które porastały przylesne rowy.

Czas adwentu do dnia dzisiejszego kojarzy mi się z oczekiwaniem na Boże Narodzenie. W tym czasie dzieci w szkole pod nadzorem nauczycieli i w domu z rodzicami, przygotowywały ozdoby choinkowe. Robiliśmy z kolorowego papieru, bibuły i ze słomy przeróżne łańcuchy, kleiliśmy gwiazdki,

kolczatki, harmonijki i pajacyki. Praca przy tych ozdobach choinkowych, przygotowywała nas do radosnego przeżycia wigilii i świąt Bożego Narodzenia. Dzieci wtedy nasiąkały tą piękną uroczystą atmosferą. W moim rodzeństwie następowało wówczas swoiste zbliżenie, bowiem starsze dzieci wprowadzały te młodsze, w sztukę wytwarzania ozdób choinkowych. Z utęsknieniem oczekiwaliśmy na wigilię i święta.

### Święto Mikołaja

Któż z nas, będąc małym dzieckiem nie wyczekiwał z niecierpliwością wigilii dnia 6 grudnia? Dzień ten był dla każdego dziecka niezwykle. I choć nieraz w tym czasie srożyła się już zima, to dzieci tkwiły z nosami przy zamrażniętych szybach okiennych, wyglądając świętego Mikołaja. Przychodził on grudniowym wieczorem, ubrany w biskupie szaty z długą siwą brodą, z workiem prezentów. W moim dzieciństwie dary od Mikołaja, mimo, że były skromne, bo i lata powojenne były ciężkie do przetrwania, ale dla nas niezwykle cenne. Bywało, że mama wkładała do paczki po jednym cukierku i jednym jabłku. Lecz nie to było ważne. Najważniejszym było, otrzymać tę paczkę z rąk Mikołaja i uczestniczyć w święcie. Z upływem lat święty Mikołaj zmienił szatę, z biskupiej na czerwony płaszcz i szpiczastą czapkę z pomponem.

### Wigilia, czyli czuwanie

Tradycja wigilii wywodzi się ze starego testamentu. Kiedyś obchodzono wigilię przed różnymi świętami. W ostatnim czasie pozostała tylko ta, przed świętami Bożego Narodzenia. Mój wujek, a szwagier mojej mamy - Czesław (B-412) Nurzyński, z którym miałem częsty kontakt w ostatnich latach jego życia (**patrz nota B-412**), wyrecytował mi kiedyś dwa piękne wiersze ze swoich młodzieńczych lat, ściśle związane z tradycją wigilii. Oto one:

#### **Wigilia**

*Dziś wigilia narodzenia, trza nałożyć w piec płomienia, warzyć kluski, warzyć żur.  
A tu patrzaj dREW nie stanie, pośpiesz Wojtuś, weź te sanie, leć po suche drzewo w bór.  
Wdziej futerko tatusiowe i czapeczkę włóż na głowę.  
Lećże, hen w gromadzki las, w ten najbliższy las sosnowy, gdzieżeś latem pasał krowy.*

*Mówią, że gdzieś bliżej wojna, cosiem jakaś niespokojna. Śniło mi się dziwnie raz.  
Nie bój Matus, nie bójże się, już ja ci nie zgine w lesie, znam ja tam każdziutki gaj.  
Tyle drzewa ci nawiozę, że na tydzień starczy może, tylko Matus chleba daj.  
Matus droga, kromkę chleba, bo sarence zanieść trzeba.*

*Sarna taka dobra, miła, sama do mnie przychodziła, kiedym latem krówki past.  
Maści chleba, zanieś sarnie, kiej się tak do ciebie garnie.  
Juści boskie jest stworzenie, niech se podje w Narodzenie.*

#### **Jezus malutki**

*Chodzi Jezus malutki, noc grudniowa, śnieżycą.  
Wiatr z północnej dmie strony,  
Tylko światło księżycą, przez chmur pada opony.*

*Wyją wilki po lesie, drży bór głuchy, sosnowy,  
A wichura w dal niesie grozę nocy zimowej.  
W tę noc chmurną i groźną, co kir szary rozpina,  
Drogą śnieżną i mroźną idzie mała dziecina.*

*Dziwny blask u jej czoła promieniami się żarzy,  
Choć bez skrzydeł anioła, anielski blask w twarzy.  
I podnosi rączęta ponad jasne swe czoło,  
Błogosławi zwierzęta i twóć wszelki wokoło.*

*I te chaty wieśniacze, i te sady i drzewa.  
I to dziecię, co płacze, i to dziecię, co śpiewa.  
I tak kojąc ich smutki, z jasną gwiazdką nad głową,  
Chodzi Jezus malutki w tę noc śnieżną, grudniową.*

Wigilia, dla każdego z nas dziwny urok kryje się w tym prostym słowie. Każdy wzrusza się i biegnie wtedy myślami do lat dziecięcych, do lat młodości, kiedy to tak emocjonalnie przeżywaliśmy ten dzień. Staje mi przed oczami mój dom rodzinny, dom duży, strzechą słomianą kryty z drewnianymi belkami u sufitu, drewnianą bielutką czystą podłogą i stół z sianem, przykryty śnieżnobiałym obrusem zdobionym haftem z religijnymi motywami (**fot. nr 27**). Widzę tę naszą rodzinną gromadkę przy stole i mamę krzątającą się w kuchni, aby przygotować i podać nam skromne potrawy. Ale najważniejszym było wtedy dla nas być razem z rodzeństwem, tak długo niewidzianym, które teraz na święta zjechało do rodzinnego domu. Przed wieczerzą wigilijną tatuś udawał się do lasu po drzewko choinkowe i wtedy wszyscy baliśmy się, aby gdzieś nie zabłądził. Zapach świerkowego drzewka pozostał mi na całe życie. Po wigilijnej wieczerzy z całym rodzeństwem ubieraliśmy choinkę (**fot. nr 28**). Przy palących się woskowych świeczkach, kolędowaniu nie było końca. Z racji, iż moi rodzice śpiewali w chórze parafialnym w Zbuczynie, repertuar kolędowy był wielce urozmaicony.

W moich dziecięcych i młodzięcych latach pasterka w kościele zbuczynskim odprawiana była wczesnym rankiem, o godzinie piątej. Wydaje się, że było to pozostałością godziny policyjnej w tym powojennym czasie. Gromadzenie się ludzi w kościele o północy było w czasie wojny niemożliwe. Na pasterkę udawała się tylko część mojej rodziny, pozostali musieli zająć się obrządkiem inwentarza i szli na mszę ranną. W zależności od pogody, szliśmy pieszo, ale bywało, że jechaliśmy także sankami (**fot. nr 29**). Zdarzało się, że z młodzieżą z mojej wioski chodziliśmy na pasterkę do kościoła w Zembrach. Było to niezgodne z wolą naszych rodziców, którzy nakazywali nam iść do swego parafialnego kościoła do Zbuczyna, ale nas pociągał klimat małego, drewnianego kościółka w Zembrach (**patrz fot. nr 462, 463**). Dodatkową atrakcją była ciekawa droga do Zembrów, wiodąca przez pola, dwie wioski (Zaolszynie i Mikłusy), przez kładkę na rzeczce oraz tajemnicze zarośla okalające tę rzeczkę. W czasie naszej wigilijnej wędrówki na pasterkę, często prószył śnieg, co tworzyło niesamowity klimat tego świątecznego dnia. Dodać tu trzeba, że pasterka w kościele w Zembrach odprawiana była wówczas o północy.

W pierwszym dniu świąt, zakazane nam było wykonywanie jakichkolwiek zbędnych czynności. Ten dzień był szczególnie święty. Nawet pastować obuwia w tym dniu nie było nam wolno. Wszystkie czynności należało wykonać w przeddzień. Nie wolno było także w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia odwiedzać się, ponieważ był to dzień rodzinny. Drugi dzień świąt był zupełnie inny. To był dzień otwarty, wszyscy odwiedzali się, przyjeżdżali goście lub w goście się jechało. Dla wszystkich dzieci było wielką radością, gdy ktoś nas odwiedzał. Naprawdę sprawdzało się wtedy przysłowie: „gość w dom, to Bóg w dom”.



27. Rodzinny dom Orzełowskich w Plewkach z 1878 roku, rozebrany w 1980 roku. Przed domem – Andrzej (B-4119). Zdjęcie z 1975 roku



28. Drzewko choinkowe



29. Jazda sankami



30. Kolędnicy

Ja, od drugiego dnia świąt rozpocząłem swoją wędrówkę kolędniczą z gwiazdą, którą przygotowywałem przez cały adwent (*fol. nr 30*). Gwiazda była sześcioramienna, kolorowa, z frędzelkami na ramionach. Repertuar kolędowy ćwiczyliśmy na tydzień przed świętami. Moimi partnerami w kolędowaniu z gwiazdą byli bracia: Henryk i Tadeusz Krasuscy z Plewek, z przydomku Strączkami zwanymi. Pochodzili oni z Zaolszynie, więc wszyscy ich w tamtej okolicy znali. Chyba dzięki nim tak ciepło byliśmy przyjmowani we wsiach: - Zaolszynie, Mikłusach i Zembrach. Do dzisiaj pamiętam wystrój poszczególnych izb, w których przyszło nam kolędować. Ten zapach przeróżnych świątecznych wypieków i wędzonek, a szczególnie zapach choinek i palących się na niej świeczek zapadł mi głęboko w pamięć. Pamiętam też smak ciast, którymi

nas częstowano, bo w każdym domu był inny. Ale to mnie wcale nie dziwiło, bo smak wypiekanego chleba w mojej wsi, u każdej gospodyni był inny. Pamiętam to, bo wówczas był zwyczaj wzajemnego pożyczania chleba. Ja ze swoim rodzeństwem niechętnie pożyczaliśmy, bo czasem oddawano nam mniej smaczny. Mama karciała nas za to i sama używała chleba każdemu.

Tu znów przywołam mego wujka Czesława (*patrz nota B-412*), który wędrując ze mną w ostatnich latach swego życia, wyrecytował mi dwa wiersze o zimie, zapamiętane w młodzieńczych latach.

### **Na śniegu**

*Bielą się pola, oj bielą, zasnęły krzewy i zioła  
Pod miękką śniegu pościelą, biała pustynia dokoła.  
Gdzie była łączka zielona, gdzie gaj rozkoszny brzozy  
Drzew obnażone ramiona sterczą spod zasy śniegowej.*

*Opadła weselna szata, zniknęły wiosenne czary,  
Wiatr gałązkami pomiata, zrzytają suche konary.  
Tylko świerk zawsze ponury w tym samym żałobnym stroju,  
Wśród obumarłej natury modli się pełen spokoju.*

*Więc drzewa obdarte z liści na jego ciemną koronę  
Patrzą się okiem zawiści, głowami trzęsą zdziwione.  
Próżno głowami nie trzęście, wy nagie, bezlistne gaje!  
Przemija rozkosz i szczęście, boleść niezmienną zostaje.*

*Adam Asnyk, 22 grudzień 1871 roku*

### **Zima**

*Hula zima, mroźna zima, śniegiem białym prószy,  
Na uwięzi rzekę trzyma, wszystkich szczypie w uszy.  
Hula zima, mroźna zima, w gaju, w lesie, w borze,  
Nawet słońko, choć gorące wstrzymać jej nie może.*

Jednego roku choinki nie mieliśmy i to z mego powodu. Wybryk, którego dopuściłem się był dużego kalibru, zbiłem sąsiadce szybę w oknie. Podpuszczony przez starszych kuzynów, chciałem trafić kartoflem wbitym na patyk w puste okienko umieszczone nad drzwiami wejściowymi, a trafiłem w okno. Kara za taki wybryk musiała być wymierzona, a że przy tej głupiej zabawie był obecny o pięć lat starszy mój brat Tadeusz, konsekwencje poniosło całe nasze rodzeństwo. Może rodzice nawet nie przewidywali, że kara będzie dla nas tak dotkliwa. Był wtedy wielki rodzinny smutek, a ja czułem się za to odpowiedzialny. Więcej takiej kary już w naszym domu nie było.

Wigilia w naszym rodzinnym jedenastoosobowym gronie, to wspólne łamanie się opłatkiem, dawało nam niezapomniane przeżycie. Najlepiej odda klimat tego wieczoru wiersz pani Emilii Waśniowskiej, która snuje takie refleksje o wigilijnym wieczorze.

*To właśnie tego wieczoru, gdy mróz lśni jak gwiazda na dworze,  
Przy stołach są miejsca dla obcych, bo nikt być samotnym nie może.  
To właśnie tego wieczoru, gdy wiatr zimny śniegiem dmucha,  
W serca złamane i smutne, po cichu wstępuje otucha.*

*To właśnie tego wieczoru zło ze wstydu umiera,  
Widząc jak silna i piękna jest miłość, gdy pięści rozwiera.  
To właśnie tego wieczoru od bardzo wielu już wieków,  
Pod dachem tkliwej kolędy, Bóg się rodzi w człowieku.*

### **Karnawał**

Nie uczestniczyłem w karnawałowych zabawach w swojej rodzinnej okolicy, bo moje młodzińcze lata spędziłem na Górnym Śląsku w Katowicach. Pamiętam karnawał i zapusty jedynie z dziecięcych lat. W mojej wsi nie było hucznych zabaw, a karczmy też już nie funkcjonowały. Zatem organizowano wtedy spotkania zwane kusakami, tańczono przy akordeonowej muzyce, a poczęstunkiem były smakowite pączki.

Ostatnie dni karnawału, zwane zapustami były okazją do przeróżnych psikusów. Dozwolone one były przez starszych, więc młodzież psociła wielce, czasem ponad miarę. Przy moim również udziale zakładaliśmy wtedy z kolegami części wozu lub cały na dach stodoły, wysoko na żurawiu od studni zaczepialiśmy rower, a raz zdarzyło się, że przenieśliśmy gospodarskie wrota na drugi koniec wsi.

### **Post**

Wszystko to ustawało wraz z nastaniem postu, gdy ksiądz posypał nam głowy popiołem. Jakoś dziwnie przeobrażał się wtedy człowiek, pokorniał, poddawał się refleksjom. Post, był okresem intensywnych prac, które musiały być wykonane przez wiejskie gospodynie. Cała moja rodzina w tym uczestniczyła. Tatuś, większość czasu przebywał w gumnie, w stodole, przygotowując wszystko pod wiosenne zasiewy, czyli młócił, wiał, młynkował. Mama zaś stawiała krosna, aby z uprzedzonego w czasie zimy lnu utkać materiał na bieliznę, pościel, worki, a z wełny – materiał na ubranie, tak zwany samodział.

Dzieci w tych czynnościach miały do wykonania wielką rolę pomocniczą. Z gałęzi czarnego bzu robiliśmy cewki, na które później nawijano uprzedzone nici do tkania. Taka cewka z nawiniętą nicią wkładana była do czółenka, a ono poruszone ręką tkaczki, śmigało później w krosnach. W tym czasie wszyscy z utęsknieniem czekaliśmy na wiosnę, bo słońeczko coraz raźniej przygrzewało. Przed domem wygrzewały się w słońcu gdakające kury.

Moja mama wyniosła z domu rodzinnego tradycje śpiewacze, tak po ojcu, dziadku, jak i po matce. Wiele pieśni знаła na pamięć. W poście, obowiązkowo w każdym dniu, śpiewaliśmy „Gorzkie Żale”. Wówczas mama nakazywała któremuś z nas, aby wziął książeczkę z pieśniami religijnymi

i zaczynał się śpiew. Następnie, jeśli tylko starczyło czasu, śpiewaliśmy inne pieśni, przewidziane na czas postu. Pamiętam, że to śpiewanie wprowadzało nas w zadumę. Czuliśmy się tak, jak byśmy brali udział w misterium Męki Pańskiej. Dzisiaj brakuje mi tego, lecz atmosfery takiej nie da się powielić, bo to działo się w specyficznych warunkach życia wiejskiego.

Gdy zbliżał się dzień 25 marca, czyli Święto Zwiastowania, częściej spoglądaliśmy przez okno patrząc, czy jest już bocian na gnieździe znajdującym się na opasłym wiązcie na naszym podwórzu (*patrz foto nr 17*). Funkcjonujące wtedy przysłowie mówiło, że w okresie zwiastowania przylatuje bocian i kania. W dniu pierwszego kwietnia z reguły bocian już stał na gnieździe. W tym to dniu wszyscy próbowaliśmy kogoś oszukać, wszak to był dzień do tego przeznaczony. Mówiliśmy wtedy: - prima aprilis, nie oglądaj się, bo się pomylisz.

### Wielki Tydzień – przed Wielkanocą

Był to czas intensywnych prac porządkowych w domu rodzinnym. Dzisiaj takich czynności już nikt nie wykonuje, zostały one zapomniane. Przede wszystkim wynosiliśmy wszystkie łóżka na podwórko, czyściliśmy je, myliśmy, zmienialiśmy słomę w siennikach. Na ściany kładliśmy nowe tapety, myliśmy okna, szorowaliśmy podłogi. My dzieci, uważaliśmy te dni za wiosenne szaleństwo, ale czuliśmy, że należało to zrobić, bo nadchodzi wiosna i wszystko, co przypominało zimę, należało wyrzucić. Dom przybierał całkiem wiosenny wygląd. Wprawdzie jeszcze kwiatów naturalnych nie było, ale mama zawsze jakieś sztuczne kwiaty na ten czas kupowała.

Do kościoła w Wielki Czwartek, Piątek i Sobotę chodziliśmy na zmianę. Jednego dnia szli jedni, a drugiego drudzy. Na każde święta wyglądaliśmy swego rodzeństwa, które z dala od domu pobierało nauki lub już pracowało. Mocno w pamięci utkwiała mi straż pilnująca grobu Chrystusowego w zbuczynskim kościele. Oczami dziecka postrzegałem ich jako groźnych i służalczych urzędników, symbolizujących żołnierzy rzymskich. W ich rolę wcielali się wówczas miejscowi członkowie Straży Pożarnej.



31. Koszyczek Wielkanocny

Gdy zjechało się już moje rodzeństwo, radości było wiele. Przede wszystkim czekaliśmy na ich długie opowiadania, bajki, nowe piosenki, których uczyliśmy się w przyśpieszonym tempie. Gdy w Wielką Sobotę nieśliśmy koszyczek do święcenia, to już dla nas było prawie święto (*foto nr 31*). Mama w tym dniu wypiekała różne ciasta, ale dominowało wśród nich drożdżowe. Pamiętam, że tego ciasta było dziewięć dużych blach. Było ono tak puszyste i wspaniałe, że na samą myśl ślinka leciała. Były też inne wypieki, jak sernik, makowiec, mazurki, ale było ich mało. Dla mnie to drożdżowe było najlepsze i mieliśmy to ciasto najdłużej. Przy odjeździe z domu, każde dziecko otrzymywało od rodziców gościńca.



32. Kolorowe pisanki

Rezurekcja, czyli poranna msza wielkanocna dawała nam taki błogi nastrój, że w dołku ścisnęło. Po przyjeździe do domu, tatuś święcił cały dom i dobytek. Tradycją było, że po mszy rezurekcyjnej każdy gospodarz śpieszył się, by jak najszybciej wyjechać swoją furmanką spod kościoła i wrócić do domu. Ścigali się więc gospodarze, bo to miało gwarantować dobry urodzaj. My dzieci, chodziliśmy w te wielkanocne dni z kolorowymi pisankami chwając się, kto ma twardsze i ładniejsze jajko (*foto nr 32*). Wtedy to ściskaliśmy je w dłoniach pokazując, że moje są twardsze. Bywało, że jajko zgmiotło się i jeśli nie było ugotowane na twar-

do, to jajecznicza zostawała w ręku. Bywało także, że taka jajecznicza zrobiła się w kieszeni, gdy zapomniano się, że się je ma.

W tym wielkanocnym czasie budowaliśmy w obejściu karuzele, krętaki, huśtawki, na których niektórzy tak potrafili się huścić, że dech w piersiach zapierało. Nieodłącznym atrybutem tamtych czasów były tak zwane sikawki. Robiliśmy je z łusek po nabojach, przeważnie po racach świetlnych. Łuski (gilzy) były różnej długości, od 15 – 40 centymetrów. Wydłubywało się w ich dnie splotkę, dorabiało drewniany tłok i sikawka była gotowa. Wodę czerpaliliśmy z gumiennej krypy (wydłubana z kłoca drzewnego, służyła do pojenia krów i koni), aby później móc oblewać dziewczyny przez cały wielkanocny poniedziałek. W naszej wsi dziewczyn było jak na lekarstwo, więc oblewaliśmy się również z chłopcami. Wprawdzie święto Zmartwychwstania Pańskiego jest w obrządku kościelnym ważniejsze od świąt Bożego Narodzenia, ja osobiście uważałem Boże Narodzenie za święto najpiękniejsze.

### Majówki

Jak daleko sięga moja pamięć, w mojej rodzinnej wsi i nie tylko, we wszystkie dni miesiąca maja odprawiane było wieczorową porą nabożeństwo majowe, zwane „majówką”. Tradycja majówki jest bardzo odległa. Najczęściej odprawiane one były przy wiejskich kapliczkach, przy krzyżu (*fol. nr 33, 34*). A gdy pogoda nie sprzyjała to spotykano się w izbie mieszkalnej. Dzieciom i młodzieży kojarzyły się one nie tylko z modlitwą, ale i towarzyskimi spotkaniami. Modlitwom przewodniczyła przeważnie któraś gospodyni, biegła w czytaniu i śpiewie. Głęboko zapadły mi w pamięć te majówki z dziecięco-młodzieńczych lat. Sama sceneria majowa, ta świeża zieleń, to rechotanie żab w pobliskich stawach, wszystko to nastrajało i napało radością (*fol. nr 35*). Czekaliśmy na te majówki, na te śpiewy, a szczególnie na jedną pieśń, która w swojej treści mówiła o cudzie natury, budzącej się do życia z boskiego zrządzenia. Chyba wszyscy ją najbardziej lubili i najczęściej była śpiewana. Oto słowa tej pieśni:

*Chwalcie łąki umajone, góry, doliny zielone,  
Chwalcie cieniste gaiki, źródła i kręte strumyki.  
Co igra z morza falami, w powietrzu buja skrzydłami,  
Chwalcie z nami Panią Świata, niech dłoń nasza wieniec splata.  
Ona dzieł Boskich korona, nad Anioły wywyższona,  
Choć jest Panią nieba, ziemi, nie gardzi dary naszymi.  
Wdzięcznym strumyki mručeniem,  
ptaszęta słodkim kwileniem,  
I co czuje i co żyje, niech z nami sławi Maryję.*



33. Wnętrze kapliczki we wsi Jasionka. Obraz pędzla Hieronima Remiszewskiego rodem z Jasionki



34. Przydrożny krzyż



35. Ukwiecona łąka

Po majówce starsza młodzież długo jeszcze ze sobą przebywała. W ten czas wiosenny nieśmiało budziły się młodzieńcze uczucia, zadzierzgały sympatie, po prostu chcieli się żyć. Z upływem każdego majowego dnia stawało się coraz cieplej, przybywało kwiatów, wokół niosła się woń narcyzów, bzów, piwonii. Gdy minął maj, jakoś stawało się smutniej, bo skończyły się majówki, a wraz z nimi te przyjemne spotkania. Dzisiaj, niestety ginie tradycja, majówki odchodzą w niepamięć. Pod kapliczką, pod krzyżem można spotkać tylko starszych ludzi. Nie widać tam dzieci i młodzieży. Zmieniło się wszystko, nie kumkają i żaby, bo stawy powysychały wskutek niewłaściwie przeprowadzonej melioracji. W ogródkach nie ma już takich kwiatów jak dawniej, nie ma też bzów okalających wiejskie krzyże, nie ma także krzyży. Coś się stało, ale co? Czyżbyśmy się zagubili?

### Zielone Świątki

Tak nazywano potocznie uroczystość Zesłania Ducha Świętego, które po Bożym Narodzeniu i Wielkanocy, było najuroczyściej obchodzone. Jest to jedno z najstarszych świąt kościelnych, wprowadzone już w trzecim wieku chrześcijaństwa. To święto przypada w najpiękniejszym okresie, kiedy przyroda całym swym pięknem wspaniale rozkwita, a zieleń łąk, lasów i sadów napawa nadzieją na lepsze dni. Stroiliśmy wówczas nasze obejścia zielonymi brzozowymi gałązkami, podwórko zaścielał aromatycznym tatarakiem, do flakonu mama wkładała wtedy pachnące i grające kolorami piwonie.

Niestety, tataraku dzisiaj już się nie uświadczy. Popsuliśmy coś w przyrodzie i póki, co, nic się nawet o tym nie mówi. Nie tylko nie ma tataraku, nie ma także kaczeńców, nie ma kolorowych ptaków i tych gaików, grodzi, gdzie to ptactwo miało swoją ostoję. Nie ma dawnych dziewiczych łąk, uroczysk, gdzie kwitły i pachniały zioła. Cywilizacja w naszym wydaniu pożytku i chluby nam nie przyniosła. Będziemy po setkach lat wspomniani, jako ci, co w zachłanności swojej i bezmyślności tyle napsuli.

### Sianokosy i czas żniw



36. Przy sianie na „popasie”. Od lewej: Ryszard (D-644), Albin (B-4116), Stanisław (B-4115). Zdjęcie z 1974 roku



37. Żniwa u Ireny (D-72) i Wacława Grodzickich w Pogonowie

Gdy sięgam wspomnieniami do dziecięcych lat, patrząc na mój udział w sianokosach, brzmia mi w uszach odgłosy ostrzonych kos, a przed oczami stają obrazy ukwieconych łąk, jak prześliczne kobierce. Mama wysyłała mnie w tamten czas, abym zaniósł tacie posiłek w dwojakach (podwójne naczynie na barszcz i kartofle) i pomógł mu w rozrzucaniu pokosów. Gdy tata posilał się, ja asystując mu, wciągałem mocno w płuca niesamowity aromat skoszonych traw. W trawie było moc przeróżnych ziół, które schnąc uwalniały z siebie wspaniałe bukiety aromatów. Już wtedy z braćmi nie mogliśmy się doczekać chwili, aby to siano znalazło się w stodole, bo od tego momentu wyprowadzaliśmy się ze spaniem do stodoły i trwało to do jesieni. Zwózka siana nie była łatwa, ale perspektywa spania na nim dodawała siły (*fot. nr 36*).

Okolo 22 lipca zaczynały się żniwa. Na każdym podwórku słychać było wtedy odgłosy stukania młotków, gdy gospodarze klepali kosy. Dla ludu wiejskiego nadchodził czas wytężonej pracy, najofiarniejszego wysiłku przy



zebraniu tego wszystkiego, co dała matka ziemia. Chyba nikt nie kochał goręcej tej ziemi, jak polski chłop, który przez wieki swoją miłość do ojczyzny objawiał w miłości do skrawka swego zagonu. Uprawiał ten zagon spracowanymi dłońmi, pełnymi odcisków od pracy, przygarbiony do ziemi. Żeby móc ukochać ten skrawek ojczyzny, trzeba poznać smak potu, który zalewał oczy, mieć twarz spaloną od słońca i od podmuchów wiatru (*fol. nr 37 i 38*).

Ten cud rozmnażania chleba, corocznie się powtarzał na naszych oczach. Szanowano wtedy nawet najmniejszy kawałek chleba, gdy upadł na ziemię całowano go, przepraszano za znieważenie. Tak jak potrzebujemy powietrza do życia i oddychania, tak chleba potrzebujemy by nie pomrzeć z głodu. Pięknie o tym pisał Władysław Syrokomla.

*Chleb – wielkie słowo w niebie i na ziemi,  
W nim Bóg sam Siebie między ludzi dzieli.  
Przed chlebem życia truchleją anieli,  
Człek go pożywa usta pobożnymi.  
A w ziemskim chlebie jest pokarm i siła,  
W chlebie Bóg życie doczesne przesyła:  
Zbawienie ciała, zbawienie duchowi.  
Lecz biada temu, kto chleb zbawienia  
Świątokradzko spożył.  
Pokarmem życia na duszy otruty.  
Pod stopy swymi sam przepaść otworzył.*

Dobrze pamiętam swój udział w żniwach, gdy wraz z rodzicami i rodzeństwem od rana do wieczora żęliśmy zboże, odpoczywając na miedzy pod dziką gruszą, posilając się chlebem, mlekiem i jajkiem ugotowanym na twardo (*fol. nr 39*). Do picia mama przygotowywała lekko osłodzony napój z kawy zbożowej. Mięsa w upalne dni nie umiano wtedy przechowywać, lodówek nie mieliśmy. Z tamtych czasów utrwalił mi się w pamięci zapach ziemi, żętego zboża, a każde inaczej pachniało. Wówczas w całej okolicy, jak okiem sięgnąć, można było zobaczyć żęte zboże zestawione w kopy lub dziesiątki (*fol. nr 40, 40a*).

Był taki zwyczaj, że zostawiano kępki żyta przy zakończeniu żniw. Ową kępkę owijano żętym żytem i strojono kwiatkami. Tak pozostawioną i przystrojoną resztkę żyta zwano brodą lub dożynkami. Niegdyś, koło brody zbierali się żniwiarze i śpiewali. Ten zwyczaj zanotował w powiecie siedleckim około 1887



38. Żniwa u Stasi (B-661) i Benedykta Pióro w Radzikowie Wielkim. Na zdjęciu teść Stasi



39. Polne grusze



40. Kopce ze zbożem, na naszym terenie zwane „dziesiątkami”



40a. Dzieci przyniosły rodzicom pośniadankę. Od lewej: Stasia (D-643), Tomek (D-642), Regina (D-641). Zdjęcie z około 1940 roku

roku Oskar Kolberg. Dzisiaj, co najwyżej przy brodzie pożartują, o ile w ogóle ją zostawią. Za moich młodych lat bywało, że wokół brody przeciągali schwytanego chłopaka, czyli oborywali nim naokoło brody.

### Święto Matki Boskiej Zielnej

W czasie późnego lata, 15 sierpnia przypada święto Wniebowzięcia Matki Bożej, zwanej potocznie świętem Matki Boskiej Zielnej. W latach mojej młodości łąki w tym czasie ponownie zakwitały, mieniając się różnobarwnymi kwiatami. Dojrzewały jeżyny, owoce w sadach, a prace żniwne dobiegały końca. Mówiono wówczas: - wniebowzięcie, pokończone życie. Z tych zebranych kolorowych kwiatów i ziół robiliśmy wianuszki i wiązańki, które nieśliśmy do kościoła. Tradycja ta przetrwała do dnia dzisiejszego.

Wszystko wokół było piękne dla oka. Jarzębina stroiła się w kolorowe korale, granatowiały grona czarnego bzu, w lasach wysypywały się grzyby, radość i sytość wszędzie dawała nadzieję na lepsze dni. Stodoły były pełne zboża, babie lato sнуło się, a drogami i ścieżkami ludzie zdążali do Maryjnych Sanktuariów, na naszym terenie do Leśnej Podlaskiej. Wszak sierpień, to czas pielgrzymowania maryjnego. O tym święcie tak pisał poeta, Waclaw Rolicz –Lieder:

*Kwiaty z pól okolicznych uszczknięte i ziola,  
Przenajświętsze ofiary pracowitej wioski  
Przyniosły swe zapachy do wnętrza kościoła,  
Przyniosły przed oblicze dobrej Matki Boskiej.*

*Przed ołtarzem ksiądz szepce łacińskie wyrazy  
Woń kwiatów coraz żywiej nad głowy się wznasza:  
Ochraniaj nas od klęski, chorób i zarazy,  
Królowo ziół przedziwna, pól Rzączyni nasza!*

*Rozśpiewały się usta, organ wciąż przewodzi,  
Ten w piersi się uderza, ten znak krzyża czyni:  
Ochraniaj nas od wojny, ognia i powodzi,  
O ziół Królowo można, naszych pól Rzączyni!*

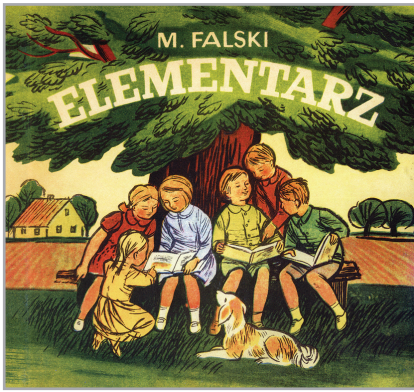
*W górze, jak głos starczy, organ przepowiada,  
A w dole, z piersi ludu płynie pieśń kościelna,  
U stóp Twych, jasna Pani, wieś swe dary składa,  
O pól Rzączyni mądra, o Królowo Zielna!*

Kończyły się wakacje, większość dzieci wiejskich w tym i ja, nigdzie nie wyjeżdżała, bo nie było, za co. Wszyscy społem uczestniczyliśmy w pracach gospodarczych, których było moc. Nastął dzień 1 września, czas rozpoczęcia nauki szkolnej (**fol. nr 41**). Na całe życie utrwaliły mi się te pierwsze



41. Szkoła Podstawowa w Tchórzewie, wybudowana około 1925 roku. Zdjęcie z 2005 roku

dni, kiedy to przestępowałem próg szkolny. Do dzisiaj pamiętam, jak do szkoły prowadziła mnie za rękę, moja starsza siostra Tereska (B-4114). Pisanie pierwszych liter, pierwsze czytanki, pierwsi koledzy, pierwszy elementarz (miałem czarno-biały), to wszystko się pamięta. Gdy pod koniec roku szkolnego, ukazał się kolorowy elementarz, bardzo żałowałem, że z takiego się nie uczyłem. Wprost urzekły mnie jego kolorowe kartki. Do dzisiejszego dnia stoją przed moimi oczami tamte obrazki (**fol. nr 42, 43, 44**). Mogło być inaczej, bo rodzice posłali mnie do szkoły o rok za wcześniej, patrząc na zapis w akcie urodzenia. Według faktycznego urodzenia (urodziłem się 14 listopada),



42. Pierwszy kolorowy Elementarz  
M. Falskiego - okładka



43. Pierwszy kolorowy Elementarz  
M. Falskiego - ilustracja



44. Pierwszy kolorowy Elementarz  
M. Falskiego - czytanka

wszystko było w porządku, natomiast zapisano mnie, jako bym urodził się 1 stycznia następnego roku.

W szkole podstawowej, do której chodziłem, była tradycja współpracy między naszą szkołą w Tchórzewie, a szkołą w Zbuczynie. Wówczas nauczyciele robili nam wspólne spotkania, biwaki harcerskie, zbiorowe wyjścia w plener, gdzie odbywały się małe inscenizacje, śpiewy, gromadne grzybobranie, muzykowanie. Po jednym z takich spotkań, pozostała mi pamiątkowa fotografia (fot. nr 45).



45. Integracyjne spotkanie dzieci ze SP Tchórzew i SP Zbuczyn - w lesie tchórzewskim. W górnej grupie trzeci od lewej – autor. Zdjęcie z 1956 roku

### Święto Matki Boskiej Siewnej

Wrzesień to czas siewów, który bardzo kochałem. Lubiłem pracować z koniem w polu, gdzie całą pierś wdychałem swoisty zapach ziemi. Babie lato snuło się w powietrzu osiadając na wszystkich bylinach i na spręcie (fot. nr 46). Słońko pięknie przygrzewało, a pora roku pozwalała, aby kieszenie były pełne owoców. Pasące się krowy na łąkach, wśród ścielących się dymów z pastuszych ognisk, pięknie współgrały z tym jesiennym krajobrazem. Odleciały już bociany, a klucze żurawi i dzikich gęsi, leciały nad naszymi głowami, zdążając na południe, ku ciepłym krajom. Z każdym dniem kolorowały się liście, a cały świat stawał się tak piękny, jak na obrazach. Zbliżała się jesień, dni stawały się coraz krótsze (fot. nr 47). Na niebie chmury kłębiły się, zwiastując jesienne szarugi. Pamiętam, że w ten jesienny czas, mama nasza często budziła nas rano na grzyby, które to wszyscy lubiliśmy zbierać.



46. Babie lato. Miesiąc wrzesień dawniej zwano pajęcznikiem – od pajaków, które tworzą piękne kompozycje babiego lata



47. Jesień, zwózka liści na ogatę



48. Spotkanie rodzinne, wykopki u rodziców we wsi Plewki.  
Od lewej: Andrzej (B-4119), Regina Małycha, Barbara (B-4111), Teresa (B-4114), Franciszek (B-411), Józef (B-4117).  
Zdjęcie z 1976 roku

Najgorszy był dla mnie czas kopania ziemniaków. Wtedy kopało się je motyką. Dopiero później pojawiły się mechaniczne kopaczki. Już od wczesnych lat, wraz z mamą chodziłem do kopania kartofli. Nie nadążałem za innymi, więc mama mi pomagała. W tym czasie odezwały się moje dolegliwości zdrowotne w postaci zgagi i bólów kręgosłupa, które dokuczają mi do dzisiaj. Podczas wykonywania wszystkich prac polowych, spotykało się polne zwierzątka i ptactwo: zające, chomiki, kuropatwy. Coś się również w tej materii popsulo, bo obecnie coraz rzadziej można je zobaczyć. Gdy opuściliśmy już rodzinny dom po wielokroć bywało, że prawie całym rodzeństwem zjeżdżaliśmy się do rodziców na jesienne wykopki (fot. nr 48).

### Święto zmarłych

Przed każdym takim świętem rodzice posyłali nas na cmentarz, w celu porządkowania grobów naszych bliskich, którzy poprzedzali nas w życiu i pomarli. Dziadków po tacie nie znałem, zmarli zanim ich mogłem zobaczyć. Ojciec mamy zamordowany został w roku moich narodzin. Jedynie z babcią po mamie, miałem zaledwie kilka spotkań, bo mieszkała dosyć daleko od nas, a ja później wyjechałem z rodzinnego domu do Katowic. Groby naszych przodków w tym czasie były ziemne, więc porządkowanie odbywało się poprzez

przekopywanie i czyszczenie z zielska. Oczyszczoną ziemię uklepywaliśmy w nagrobek, a na nim robiliśmy znak krzyża z białych kuleczek śnieguliczek albo z kasztanów. Czasami ktoś zaniósł na grób sztuczne kwiaty, ale było to rzadkością.

Nie spotykałem w dzieciennych latach palących się lampek na grobach. W święto zmarłych można było spotkać kuzynów, czy znajomych, których się nie widziało nawet przez kilka lat. Dzisiaj, gdy na cmentarzu w dniu święta zmarłych palą się niezliczone ilości lampionów, a kwiatów na grobach jest aż za dużo, trudno mi jest to zestawić z tamtymi latami. Moim zdaniem, kiedyś było bardziej naturalnie, bez przepychu, bardziej refleksyjnie.

### Wiejskie wesele

Z opowieści mego taty i od innych rodowych seniorów wiem, że jeszcze w pierwszej połowie XX wieku istniał zwyczaj swatania młodych ludzi. Funkcję tę, raczej społecznie, choć nie zawsze, pełnił mężczyzna odznaczający się śmiałością, rzutkością, ale i psychologicznym wyczuciem. Musiał to być człowiek stateczny, dobry gospodarz, ogólnie poważany, towarzyski i komunikatywny. Mruk i niedołęga mógłby tylko sprawę popsuć lub zniweczyć kawalerskie plany. Dawniej istniał taki przesąd, wywodzący się jeszcze z czasów pogańskich, że szczęśliwe małżeństwo to takie, które zostało skojarzone przy pełni księżyca. Krył się, więc swat pod osłoną ciemności, starając się, aby go nikt nie zoczył. Miało to gwarantować ochronę przed urokami i czarami.

Od wieków wesele na wsi było zjawiskiem barwnym, którym po wielokroć interesowali się poeci i malarze. Nie można powiedzieć, że wesela na wsi były zawsze jednakowe, gdyż tak, jak i inne zwyczaje, ulegały zmianom. Opowiadał mi tata, że w jego młodości wesela były raczej skromne. Jednak, gdy w 1930 roku żenił się jego stryjeczny brat Jan - ojciec Bogusława (B-4132), wesele było wystawne. Pomieszczenia ubrane były na wzór dworski. Stoły wspaniale nakryte, a na nich porcelanowa zastawa i pełny garnitur sztućców. Niektórzy goście nie umieli się nimi posłużyć, było z tym małe zamieszanie, ale w końcu jakoś sobie poradzili. Takie wesela były jednak rzadkością. W zależności, czy gospodarz był zamożny, czy biedniejszy wesele miało charakter wystawny lub skromny.

W mojej pamięci pozostały obrazki, kiedy jako mały chłopak przyglądałem się tym weselnym uroczystościom. W tradycji było, że na wesele prosili narzeczeni w towarzystwie swoich drużbów i druhen. Proszono nie tylko bliższą i dalszą rodzinę, ale także sąsiadów. Bywało, że zapraszano wszystkich mieszkańców wsi. Wtedy to sąsiadów należało prosić kilka razy. Po zaproszeniu przez młodożeńców, prosili ich jeszcze rodzice. Zachowała się z tamtych lat anegdota, wymownie świadcząca, jak to z tym proszeniem było. - Do płotu podchodzi gospodyni i zwraca się do sąsiadki z pytaniem: - Kumo, to idziem na to wesele, do Rochów? Na co ona odpowiada: - O, tak zara lecieć? Dopiero trzeci raz prosili! Do dobrego tonu należało, aby tak od pierwszego proszenia, nie iść na wesele. Trzeba było naprawdę poczuć, że jest się zaproszonym.

Pan młody zapraszał swoich gości, na tak zwany wyjazd, których przyjmował w swoim domu. Następnie z całym orszakiem udawali się po pannę młodą i jechali do ślubu. Po ślubie, wesele odbywało się w domu panny młodej. Bywały też kłopotliwe sytuacje, które znam z opowieści mego taty. Mówił mi, że niekiedy pan młody uprzedzał swoich gości, iż po ślubie nie będą mogli uczestniczyć w przyjęciu u panny młodej, z racji



49. Paradne sanki



50. Wesele Ireny, siostry Bogusława (B-4132), we wsi Grodzisk w 1958 roku



51. Wesele Ireny, siostry Bogusława (B-4132), we wsi Grodzisk w 1958 roku



52. Wesele Ireny, siostry Bogusława (B-4132), we wsi Grodzisk w 1958 roku



53. Wesele Ireny, siostry Bogusława (B-4132), we wsi Grodzisk w 1958 roku



54. Wesele Ireny, siostry Bogusława (B-4132), we wsi Grodzisk w 1958 roku



55. Wesele Ireny, siostry Bogusława (B-4132), we wsi Grodzisk w 1958 roku

szczupłości pomieszczenia. Goście przyjęli tę informację do wiadomości, ale pamiętali o niej tylko do czasu spożycia alkoholu. Gdy w głowach już dobrze zaszumiło, wtedy niepomni próśb pana młodego, ku zatrwożeniu rodziców panny młodej, gromadą wtargnęli na wesele. Rozwiązanie tego problemu bywało różne.

W oczach dzieci te weselne uroczystości, te rytualne gesty i błogosławieństwa, żegnania i witanie chlebem i solą, urastały do rangi symbolu. Piękny strój młodych, druhen, družbów, kokardki przypinane wszystkim gościom weselnym, piękne suknie, welony, czepce, były uczną dla dziecięcych oczu. Dla mnie osobiście, jako młodego chłopaka, wielką frajdą było patrzeć na paradne pojazdy (wolanty, bryczki) zaprzężone w parę koni. Uprząż na taką okoliczność była odświętna i pięknie polakierowana. Jeśli był to czas zimowy, młodzi jechali do ślubu w paradnych, giętych, często kolorowo malowanych sankach (*patrz fot. nr 49*). Konie miały wtedy

przypięte pięknie brzmiące janczary i dzwoneczki. Niektórzy gospodarze mieli specjalny sprzęt do obsługi wesel i wyszkolone konie. Gdy orkiestra grała, konie wyraźnie przebierały nogami w takt muzyki, szczególnie w takt marsza.

Z braku odpowiedniego pomieszczenia, przyjęcia weselne w letnie dni dość często odbywały się pod gołym niebem na podwórku, albo w budynku gospodarczym, przeważnie w stodole. Zimą już takiej możliwości nie było, więc ograniczano się do izb mieszkalnych. Tam, gdzie była świetlica lub dom ludowy, można było sobie pozwolić na przyjęcie większego grona gości. Wybudowany po wojnie w Jasionce dom ludowy z dużą świetlicą, często był wykorzystywany na różne wiejskie uroczystości, w tym także na wesela. Gdy żenił się Zygmunt Remiszewski kawaler z Jasionki, sąsiad Marianny (B-81) i Bolesława Czerskich z Ireną Orzyłowską z Grodziska – siostrą Bogusława (B-4132), przyjęcie weselne było urządzone na podwórzu u panny młodej. Zachowały się z tej uroczystości wspomniane fotografie, których próżno dzisiaj szukać. Postanowiłem ocalić je od zapomnienia. Oddaję one w pełni klimat tamtych lat (*fot. nr 50, 51, 52, 53, 54, 55*).

Wesele jak sama nazwa mówi, miało dawać radość, okazję do spotkania z rodziną, ale przede wszystkim liczyła się biesiada weselna. W mojej pamięci zachowały się wesela jednodniowe. Ponoć zdarzało się, że trwały czasem kilka dni. Po biesiadzie weselnej była zabawa taneczna, która trwała do rana. Do tańca przygrywała przeważnie miejscowa kapela (*fot. nr 56*). Zamożniejsi gospodarze wynajmowali najbardziej wziętych muzyków w okolicy. Alkohol zawsze robił swoje i co bardziej krewcy goście, próbowali wszczynać awantury i trzeba było ich poskramiać. Jeszcze za czasów mojej młodości bywało, że na weselu pojawiali się goście nieproszeni, tak zwani „pasierbowie”. Wtedy to najczęściej dochodziło do awantur, bo odzywały się jakieś zaszłości, animozje, nieporozumienia towarzyskie. Na jednym takim weselu w 1928 roku mój tata, choć był gościem proszonym, został uderzony w głowę odważnikiem zaczepionym na linie. Szczęśliwie się stało, że odważnik tylko musnął czaszkę, ale tata i tak stracił przytomność. Gdyby odważnik trafił celniej, z pewnością straciłby życie. Sprawcę wykryto, była też rozprawa w sądzie i kara grzywny. Ciekawy był jednak epilog. Mówił tatuś, że na karcące słowa jego ojca pod adresem sprawcy chuligańskiego wybryku, matka sprawcy tak odpowiedziała: - kto bije i płaci, sławy nie traci.

Na uroczystość weselną najbardziej chyba wyczekiwały dzieci, bo była to dla nich wielka atrakcja, gdy młodożęncy rozrzucali wokół cukierki, a każde z nich prześcigało się, aby jak najwięcej ich złapać. Wynoszono im na poczęstunek ciasta, pączki i coś tam jeszcze ze stołu weselnego. Był szum, wiele się wokół działo, a dla dzieci był to zawsze dzień wyjątkowy.



56. Kapela wiejska. Od lewej stoją: Szymon Krasuski, Henryk (D-241) Celiński, Czesław Grochowski. Przy perkusji siedzi – Czesław Mróz